

Krystyna Palmowska

ZAKŁĘTYM W GÓRSKI KAMIEŃ

Tragedie złotej ery polskiego himalaizmu

LITERATURA GÓRSKA NA ŚWIECIE

ZBYT WYSOKA CENA PIERWSZEGO POLSKIEGO OŚMIOTYSIĘCZNIKA

*stoi pod ścianą, której nie zna (...)
a z góry schodzą jego przyjaciele;
ci, którzy zginęli, przemieszani z żywymi.
Uśmiechają się, milcząc robią przejście.
Czekają. On idzie do nich, pnąc się coraz wyżej,
minuta po minucie, metr po metrze...*

MAREK RYMUSZKO
*Schody*¹ [sen Bogdana Nowaczyka]

Wznoszący się w sercu Karakorum Broad Peak – Szeroki Szczyt, zawdzięcza swą nazwę charakterystycznej budowie. Rozczłonkowany masyw tej góry ciągnie się na długości około pięciu kilometrów. W długiej grani szczytowej wyróżniają się trzy wierzchołki: północny, środkowy i główny. Dwa ostatnie, rozdzielone przełęczą Broad Col, wzbijają się na wysokość ponad 8000 metrów, przekraczając tę granicę: pierwszy – o kilkanaście metrów (Broad Peak Middle lub inaczej Central, 8016 m), a drugi – o niemal pięćdziesiąt (Broad Peak Main, 8047 m).

W dziejach podboju himalajskich olbrzymów Broad Peak od zawsze pozostawał w cieniu wielkiego kuzyna – K2, usytuowanego w bliskim sąsiedztwie (ich bazy są oddalone zaledwie o godzinę drogi). Podczas gdy drugi szczyt świata z miejsca przyciąga wzrok efektowną, regularną piramidą, jego ubogi krewny nie dość, że niższy o prawie

gdyż na przejście najłatwiejszej części drogi wieloosobowy zespół zużył ponad osiem godzin – śnieg był kopny, ciężki, wysokość nie pozwalała na rozwinięcie właściwego tempa. (...) Decyzja ataku szczytowego, po wyruszeniu z przełęczy, zakładała, że warunki pogodowe nie ulegną zmianie (...). Decyzja ta została podjęta na podstawie fałszywych przesłanek – nim zapadł zmrok nadciągnęła gwałtowna burza śnieżna, która więziła masyw przez ponad 24 godziny. (...) Burza ta postawiła zespół atakujący wobec warunków skrajnych, które skumulowały wszystkie mniejsze i większe błędy lub przeoczenia. (...) Jedno dodawało się do drugiego: zmęczenie, deterioracja, brak puchowych ubiorów, brak liny. Burza spięła je w kłamrę.

KOMENTARZ

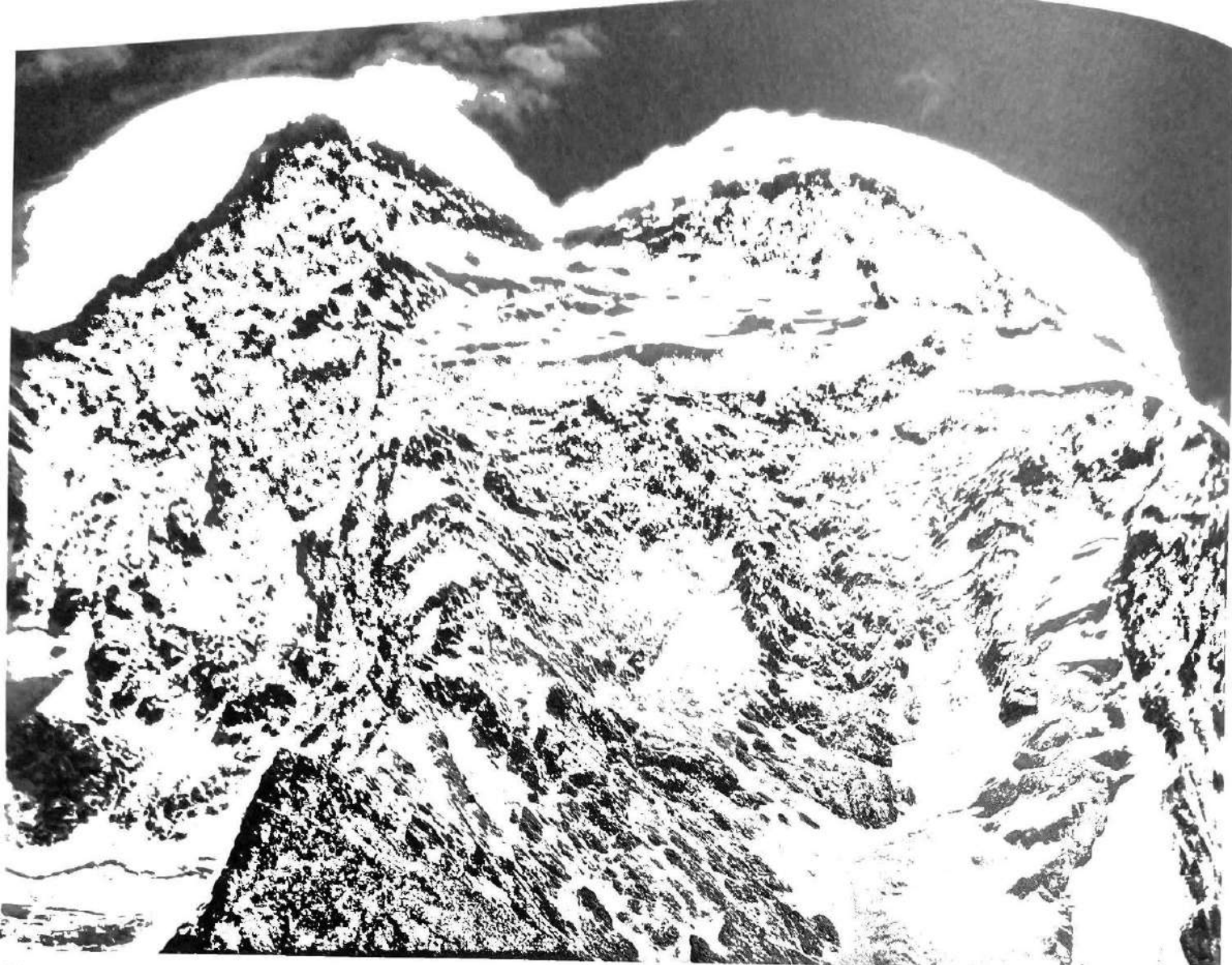
Na początek przytoczę emocjonalny dopisek Kazka, którym zakończył on swoje sprawozdanie z wyprawy:

Być może obecnie, znając dalsze fakty i cały przebieg wydarzeń, można spekulować – siedząc przy biurku, w ciepłym pokoju, nie wysoko nad poziomem morza – że to lub owo można by zrobić inaczej (może nawet odrobinę lepiej), ale sądzę, że nikt w zaistniałych warunkach (a często bywałem w górach w ciężkich sytuacjach) nie postąpiłby słuszniej czy bezpieczniej. Warto zresztą zwrócić uwagę, że najbezpieczniej byłoby w ogóle nie wychodzić z bazy...⁵².

Można zrozumieć rozgoryczenie człowieka ostro krytykowanego, który podczas odwrotu dał z siebie wszystko, żeby wyprowadzić z pola bitwy, w warunkach ciężkiego ostrzału, przynajmniej jednego ze swoich żołnierzy.

Jeśli jednak coś pozytywnego ma z tej strasznej tragedii wynikać, to – w moim przekonaniu – właściwe wnioski, oparte na rzetelnej analizie faktów. Mam też nadzieję, że autor wyżej przytoczonych słów, dziś już nieżyjący, nie miałby nic przeciwko temu, żeby po latach spojrzeć na całość wydarzeń z perspektywy wiedzy, którą obecnie dysponujemy.

Badaniem wpływu wysokości na funkcjonowanie człowieka zajmowało się już wielu specjalistów na świecie. W Polsce prace naukowe z tej dziedziny podjął jako jeden z pierwszych prof. Zdzisław Jan Ryn, psychiatra specjalizujący się w patologiach dużych wysokości, który zwrócił uwagę na powtarzające się przypadki nieracjonalnych zachowań wspinaczy w pewnych sytuacjach.



Górna partia ściany, którą wiodła droga na przełęcz Broad Col

(fot. M. Bytom)

Mając w pamięci wnioski z jego badań, powrócę do pytań sformułowanych przez Andrzeja Paczkowskiego:

*Czy słuszną była decyzja kontynuowania wspinaczki mimo ostrzegawczego opadu pod przełęczą? Czy nie należało zrezygnować z ataku lub przeprowadzić go w zespole mniejszym, a więc szybszym w działaniu?*⁵³.

Rozważając tę kwestię, autor pytania sam stwierdził, że założenia planu nie zostały spełnione ze względu na zbyt wolne tempo zespołu spowodowane warunkami śniegowymi.

Zauważmy jednak, że do wywrócenia założeń ataku szczytowego doszło już w momencie pozostawienia depozytu 300 m pod przełęczą, kiedy w plecaku Kęsickiego została lina, zaś w plecaku Bebaka – radiotelefon jego zespołu, o czym nie został poinformowany Głazek. Od tego czasu zespoły przestały być niezależne. Piątka, kontynuująca marsz w górę, miała do dyspozycji tylko jedną linę i tylko jednego „Klimka”, który na dodatek uległ uszkodzeniu. Trudno jest zrozumieć, dlaczego Bebak zostawił swój radiotelefon. W rezultacie w krytycznej chwili, znalazłszy się sto metrów pod przełęczą, nie miał możliwości skontaktowania się z kierownikiem wyprawy i przedstawienia mu swojego spojrzenia na całą sytuację. Być może udałoby się wtedy odwrócić bieg wydarzeń.

A patrząc trzeźwo, sytuacja zespołu po dojściu na przełęcz nie przedstawiała się różowo. Wspinacze, po przeszło 12 godzinach ciężkiego torowania, znaleźli się na wysokości około 7800 m, czyli 600 metrów powyżej poziomu, do którego byli zaaklimatyzowani (obóz III znajdował się na 7200 m). W tym momencie mieli przed sobą do pokonania dalsze dwieście metrów w pionie, w terenie znacznie trudniejszym technicznie niż w przypadku zespołu austriackiego. Na dodatek i na przełęczy, i dalej na grani byli wystawieni na uderzenia wiatru, a wcześniej pozbyli się ciepłych rzeczy.

Przyjrzyjmy się teraz wnioskowi Komisji PZA. Jeśli się nad tym zastanowić, to można zauważyć pewną niekonsekwencję w jej stanowisku. Wytknięto bowiem Bebakowi: *...przerwanie ataku szczytowego bez uzasadnionych powodów w momencie podejmowania decyzji*, a jednocześnie Głazkowi – *kontynuowanie wspinaczki w pogarszającej się coraz bardziej pogodzie i szalejącej wichurze i zadymce, mimo że byli wtedy jeszcze w terenie trudnym tuż pod drugim uskokiem, decydując się już praktycznie wtedy na nieprzygotowany biwak w niesłychanie ciężkich warunkach*.

Należałoby więc zadać pytanie, w którym momencie zespół powinien był się wycofać? Problem w tym, że wspinaczowi, który ma w zasięgu wzroku szczyt, niesłychanie trudno jest podjąć decyzję o odwrocie, nawet gdy sytuacja staje się dramatyczna. Będąc w ogniu walki, na dodatek w stanie zmęczenia i deterioracji spowodowanej brakiem tlenu, odwodnieniem i wyziębieniem, nie jest w stanie racjonalnie myśleć.

Zacytujmy prof. Ryna:

Alpinista na dużej wysokości porusza się automatycznie, uruchamiając się mechanizmy perseweracji, uporczywego powtarzania tych samych czynności – w głowie kołacze ta sama myśl: „Jeszcze jeden krok w górę”. Następuje zawężenie świadomości i osłabienie percepcji obiektywnego niebezpieczeństwa. Jeśli człowiek się pogrąży w takim stanie, trudno już zawrócić⁵⁴.

Bardzo łatwo jest wtedy przekroczyć tę „cienką czerwoną linię”, za którą jest już o krok do tragedii. Uprawniona jest hipoteza, że w takim stanie znalazł się Głazek – i cały zespół. Najwyraźniej podobnie widział tę sytuację Józef Nyka, pisząc o *parciu w górę par force – z poddaniem się zdradzieckiej euforii szczytowej i złudnemu poczuciu bezpieczeństwa w gromadzie⁵⁵.*

I tu dochodzimy do sprawy kluczowej. Zespół szturmowy rozpoczął wspinaczkę około godziny 16.00. Komisja nie zakwestionowała tej decyzji, zarzuciła tylko Głazkowi błędną ocenę czasu potrzebnego do pokonania grani szczytowej. Przypomnijmy – Głazek przewidywał na ten odcinek 2–2,5 godziny. Skoro więc wyruszyli o 16.00, to według jego rachuby powinni osiągnąć wierzchołek około 18.00–18.30. Pozostawał więc bardzo niewielki margines czasu do zmroku, nawet gdyby pogoda była bez zarzutu. Tymczasem jest faktem, że nawet w dużo niższych górach nie sposób precyzyjnie ocenić czasu potrzebnego na pokonanie drogi, która nie miała jeszcze przejścia – zwłaszcza iż z dostępnej dokumentacji fotograficznej wynikało, że to będzie trudny teren mikstowy. Zawsze trzeba się liczyć z jakimiś niespodziankami i pozostawić pewien zapas na nieprzewidziane okoliczności. Najwidoczniej Głazek nie wziął też pod uwagę, że pięcioosobowy „tramwaj” będzie poruszał się wolniej niż trójkowy oraz że potem czeka ich jeszcze trudne zejście – dużo trudniejsze, niż mieli pierwsi zdobywcy.

Załamanie pogody na pewno diametralnie pogorszyło sytuację, ale nawet bez niego prawdopodobieństwo nieplanowego biwaku było bardzo wysokie. Jeśli – jak zakładał plan – miało do niego nie dojść, to zespół szturmowy powinien był mieć zapewnioną możliwość pokonania trudniejszych technicznie odcinków – w górę i w dół – jeszcze za dnia tak, żeby po zmroku został mu ewentualnie do przebycia co najwyżej łatwiejszy teren. To wszystko prowadzi do wniosku, że w zaistniałej sytuacji decyzja rozpoczęcia o 16.00 wspinaczki nieznanym terenem była obciążona bardzo dużym – teraz wiadomo, że zbyt dużym – ryzykiem.

Wydaje się więc, że sygnał do odwrotu winien być dany wcześniej, że punktem krytycznym powinna stać się sytuacja, jaka miała miejsce w okolicach przełęczy, gdzie doszło do rozdzielenia zespołu. Chyba zbyt łatwo wszyscy przeszli do porządku nad decyzją rezygnacji Bebaka, która nie zyskała uznania ani w oczach kolegów, ani też – co zastanawiające – Komisji. Wygląda na to, że w decydującym momencie na przełęczy zabrakło głosu rozsądku. Mógł to być głos Bebaka, gdyby nie zostawił swojego radiotelefonu w depozycie.

Jest jeszcze jeden argument przemawiający za wcześniejszym odwrotem. Zespół zachowałby wówczas więcej sił na ewentualny powrotny atak – tak jak to przed laty zrobili Austriacy, wycofując się przy pierwszej próbie z okolic tzw. Rocky Summit i ponawiając atak

po kilku dniach. A jeśli już jesteśmy przy tym historycznym wejściu, warto jeszcze raz przywołać ich czasy: jak wynika z wyprawowego dziennika Schmucka⁵⁶, w czasie finalnego ataku, wychodząc z obozu położonego 200 m niżej (ok 6950 m), Schmuck dotarł na przełęcz o 12.45, zaś Diemberger idący razem z Buhlem, który na tej wyprawie był w wyjątkowo kiepskiej formie – o 14.00. „Nasi” trafili na znacznie gorsze warunki i zużyli dużo więcej czasu (i sił) na torowanie, na skutek czego znaleźli się na przełęczy między 15.15 a 15.30 – ponad półtorej godziny później (a nie wcześniej!) od Austriaków. Pomyłka zawarta w relacji Głazka*, świadcząca o niedostatecznej znajomości szczegółów wejścia poprzedników – to jeden z elementów całego łańcucha błędów, które razem złożyły się na tragiczny rezultat.

Znamienne, że przy pierwszej, nieudanej próbie ataku na Broad Peak Middle, warunkiem podjęcia ataku szczytowego przez zespół Głazka miało być dojście na przełęcz *w godzinach południowych*. Za drugim razem takiej granicy nie ustalono. Uważam, że był to poważny mankament planu ataku. W założeniach taktycznych zapisano tylko wykluczenie biwaku i wycofanie w bliżej nieokreślonych *godzinach wieczornych*. Nie mając takiego punktu kontrolnego, w rozstrzygającej, gorącej chwili nie było do czego się odwołać.

Warto ponadto zwrócić uwagę na ważny wniosek płynący z tej historii: trudna techniczna wspinaczka na dużej wysokości stawia szczególne wymagania odnośnie do aklimatyzacji. Zdaniem jednego z najlepszych w Polsce ekspertów medycyny górskiej, dr Roberta Szymczaka, żeby sprawnie pokonywać trudne drogi na wysokościach powyżej umownej granicy 5500 m, trzeba zapewnić sobie wcześniej ponadprzeciętną aklimatyzację – jest to warunek utrzymania dobrego tempa⁵⁷. W tym konkretnym przypadku wskazane było przed atakiem szczytowym osiągnąć we wcześniejszym wyjściu wysokość około 7800 m. Takiej aklimatyzacji członkowie zespołu szturmowego nie mieli; notabene w najgorszej sytuacji był Roman Bebak, który tylko raz nocował w obozie III. Z tego punktu widzenia błędem okazało się więc też naśladowanie taktyki Austriaków, gdyż nie uwzględniono innego charakteru terenu, który należało pokonać nad przełęczą.

Jeszcze jedna ważna kwestia. W świetle obecnej wiedzy trzeba podkreślić szczególną rolę kierownika wyprawy – zakładając, że nie uczestniczy on w ataku szczytowym. Skoro dowiedziono, że alpinista

* Patrz np. artykuł K. Głazka w „Taterniku” 1/1976, s. 19–22.

znajdujący się w stanie deterioracji na dużej wysokości ma ograniczoną możliwość racjonalnego myślenia, tym większa odpowiedzialność spoczywa na kierowniku, który powinien zachować trzeźwą ocenę i umieć narzucić swoje zdanie, nawet wbrew opinii większości. Zacytuję tu znów zdanie prof. Zdzisława Ryna, które można odnieść do rozważanego przypadku: *w takiej sytuacji ważna jest rola kierownika wyprawy, który może podjąć obiektywne decyzje*. W zaistniałej sytuacji rozsądnym wyjściem byłoby nakazanie obydwu zespołom odwrotu z przełęczy.

I ostatnia sprawa. W sprawozdaniu uczestników wyprawy i w Orzeczeniu Komisji przyjęto, że zmiana pogody była nie do przewidzenia. Czy rzeczywiście to prawda? O tym, że sytuacja nie przedstawiała się aż tak klarownie, świadczy wypowiedź Fereńskiego w filmie załączonym do książki Kurczaba *Największe tragedie*:

*Gdzieś około czwartej po południu zaczęły się pojawiać pierwsze chmury, takie dość niepokojące chmury. Ja próbowałem wtedy nawiązać kontakt. Spytałem, czy są jakieś chmury, jak jest z pogodą. Powiedzieli, że nie, że wszystko w porządku*⁵⁸.

Wiele jednak wskazuje na to, że uczestnicy zespołu szturmowego zwyczajnie nie chcieli – a być może faktycznie nie mogli? – zauważyć niepomysłnych sygnałów. Wymowny jest zresztą fragment relacji Głazka:

*Kiedy znajduję się około 80 m od szczytu stwierdzam, że zaczyna wiać silny wiatr, a na niebie pojawiają się drobne smugowe chmurki, które w innych znanych mi górach zwiastują zepsucie się pogody za jakieś dwa-trzy dni*⁵⁹.

Najwyraźniej Głazek nie zauważa pierwszych oznak burzy, która już za chwilę rozpęta się nad jego głową.

Trochę podobna sytuacja miała miejsce 11 lat później, pamiętnego lata 1986 r. na K2. Tam również było tak, że siedmioosobowy wielonarodowy zespół, który wyruszył z ostatniego obozu na szczyt, nie zwracał uwagi na oznaki nadciągającego kataklizmu, chociaż były one ewidentne dla różnych ekip znajdujących się w pobliżu. W rezultacie z tej siódemki do bazy powróciły tylko dwie osoby.

Powiedzmy sobie wprost, że zamieć, która nadciągnęła nad Broad Peak 28 lipca 1975 r. około godziny 19.00, nie była aż tak niespodziewana, skoro wcześniej, w godzinach popołudniowych, miał miejsce nagły krótkotrwały opad śniegu – taka historia nie mogłaby się

wydarzyć przy stabilnej, pewnej pogodzie. Jak się wydaje, ten incydent był ostrzeżeniem, które zostało zlekceważone.

Niemal dwanaście lat po wyprawie Roman Bebak zakwestionował przedstawioną przez Głazka i Kulisia wersję wydarzeń, dotyczącą ostatniej fazy wspinaczki na szczyt. W reakcji na tekst Józefa Nyki o wyprawie wrocławskiej, który ukazał się w albumie *Karakorum. Polskie Wyprawy Alpinistyczne z 1986 r.*⁶⁰, a który zarzucał mu *naruszenie planu ataku* przez samowolne zawrócenie spod przełęczy, wysłał list datowany 10. II. 1987 r. m.in. do Zarządu PZA i redaktora „Taternika” Józefa Nyki. Powołał się przy tym na informacje przekazane mu bezpośrednio przez Głazka po feralnym zejściu ze szczytu do obozu III.

W liście tym Bebak napisał:

*...żaden z nich nie stanął na samym wierzchołku. Głazek dotarł do partii podszczytowych, mając przed sobą jeszcze wyżej piętrzące się kamienie lub turnie, ograniczające mu dalszą widoczność – a idący za nim na jednej linie Kuliś, będący na jej drugim końcu – szarpał za nią, aby dać Głazkowi sygnał do zejścia w dół, zaś dalej, że Koledzy – Kęsicki, Nowaczyk i Sikorski – zostali w połowie grani (...) między przełęczą a szczytem*⁶¹.

Te doniesienia Bebaka, mające posmak sensacji, nie znalazły zrozumienia wśród adresatów listu. W następnych latach Bebak próbował jeszcze parokrotnie przy różnych okazjach wrócić do tej sprawy, ale temat nie został podjęty.

Co do uznania wejścia wrocławian na Broad Peak Middle, zdania w środowisku są podzielone. Część osób znających temat uważa, że skoro zespół pokonał główne trudności techniczne i dotarł na skraj śnieżnego plateau, gdzie teren jest względnie połogi, to nie należy szukać dziury w całym. Niektórzy uchylają się od zajęcia stanowiska w tej delikatnej materii. Wreszcie dla bardziej tradycyjnie nastawionych ekspertów rozstrzygający jest fakt, iż w panujących wtedy ekstremalnych warunkach pogodowych udokumentowanie dokonania nie było możliwe – okoliczność szczególnie istotna wobec ujawnionych wątpliwości. W takim razie pierwsze wejście należałoby przyznać nie zespołowi z 1975 r., ale Kukuczce i Kurtyce, którzy bez żadnych wątpliwości stanęli na wierzchołku Broad Peak Middle w trakcie

PIERWSZA JELENIOGÓRSKA WYPRAWA „HIMALAJE-79” — ZWYCIĘSTWO I KLĘSKA

Wy jeszcze nie wiecie, co komu pisane i kto będzie żył...¹

Wpis tej treści zamieścił w swoim dzienniku pod datą 20 kwietnia 1979 r. Jerzy Pietkiewicz, kierownik ekipy, która miesiąc wcześniej wyruszyła z Jeleniej Góry w rejon Annapurny. Czy przeczuwał wtedy, że wypadek, który wydarzył się na wyprawie pięć dni wcześniej, to nie koniec nieszczęść, jakie spotkają jego zespół?

W historii przedsięwzięcia Pietkiewicza z 1979 r. można znaleźć sporo analogii z pionierskim wyjazdem w Himalaje zorganizowanym sześć lat wcześniej przez środowisko lubelskie.

Lokalny patriota, społecznik i entuzjasta wspinaczki, pokonując liczne przeszkody, montuje poważną wyprawę w oparciu o siły środowiska, z którego się wywodzi. Wyrusza szeroki i bardzo zróżnicowany skład, w którym zdecydowanie przeważają osoby z doświadczeniem ograniczającym się do Tatr. Wielotorowo prowadzona akcja kończy się sukcesem jednego i katastrofą innego zespołu.

W sumie z wyjazdu do kraju nie wraca aż trzech uczestników. Po powrocie wybucha gorąca dyskusja – trzeba znaleźć winnego.

Ale po kolei.

OKOLICZNOŚCI I ANALIZA WYPADKU JÓZEFA KONIAKA

Żeby przypomnieć, co stało się 15 kwietnia na grani Annapurny, przytoczę zwięzły opis przebiegu wypadku z książki o Wielickim z 2019 r. [wyróżnienia moje – KP]:

Podczas pierwszego rekonesansu Wielicki, Marian Piekutowski i Józef Koniak wspinają się na przełęcz na grani, która łączy Annapurnę Południową z Hiunchuli. Przy zejściu ustalają, że Wielicki będzie od góry asekurował kolegów. Piekutowski schodzi pierwszy, zatrzymuje się PO OSIEMDZIESIĘCIU METRACH, kolej na Koniaka. Najpierw wypląszczenie, potem stromizna. Tego, KTÓRY ZJEŻDŻAŁ NA LINIE, nie widać z góry. Nagle Koniak odpada, uderza w Piekutowskiego, który czeka niżej. LINA OWIJA SIĘ WOKÓŁ NÓG PIEKUTOWSKIEGO, po mniej więcej piętnastu metrach szarpie mocno. Alpinista na chwilę traci przytomność, wisi głową w dół. Udaje mu się zrzucić plecak i wyplątać nogi. Po napiętej linie wdrapuje się na półkę. DWADZIEŚCIA CENTYMETRÓW NAD NIĄ wisi przewiązany liną na wysokości klatki piersiowej Koniak. NIE RUSZA SIĘ.

Wielicki na górze nie wie, co się dzieje. Czuje, że lina jest cały czas obciążona. Zaparty o stok grani krzyczy do kolegów, ale nie ma odzewu. Za długo to trwa, złe przeczucia każą mu zejść na dół BEZ ASEKURACJI.

Piekutowski siedzi na skalnej półce – Józek nie żyje⁵².

Ta dziennikarska relacja (autorami są dziennikarze, nie wspinacze) od razu rodzi pytania. Jeśli Koniak zjeżdżał na linie, to dlaczego odpadł i poleciał z impetem tak, że zrzucił Piekutowskiego? Skąd ta lina owinięta wokół nóg Mariana?

Parę istotnych szczegółów tej wersji trzeba więc od razu sprostować, zaś niektóre uzupełnić. Mamy przecież do dyspozycji wcześniej cytowany raport z wypadku, sporządzony krótko po wyprawie przez obu świadków – oryginalne i najbardziej rzetelne źródło. Najpierw sprostowania. A więc: Marian Piekutowski zatrzymał się nie po 80, a po 30 metrach – cała trójka była związana 80-metrową pojedynczą liną, tzw. podciągami, z Koniakiem w środku. Dalej: Koniak nie zjeżdżał, a schodził, asekurowany z góry przez Wielickiego. Kolejne przekłamanie: lina nie owinęła się wokół nóg Piekutowskiego w momencie uderzenia z góry, on ją zwijał na nogach i wtedy został zaskoczony przez spadającego kolegę. Nieścisłości jest więcej, ale zatrzymam się w tym miejscu, by sięgnąć wprost do relacji autorstwa samego Wielickiego zawartej w jego książce *Jeden dzień z życia*:

Pierwszy schodzi Manick, drugi idzie – jako mniej doświadczony – Józek, ja zaś asekuruję całe towarzystwo z „ciała”, mając za autoasekurację zakopany głęboko w śniegu czekan.

Lina przesuwa się wolno. Po czterdziestu metrach wpina się Józek. Znikają obaj. Nie widzę ich ani nie słyszę. Asekuruję dwóch ludzi, więc zapieram się za przełączką. Lina wcięta w śnieg, nie czuję nawet zbyt-
nio ich ciężaru. Słyszę, że Józek krzyczy. Podchodzę dwa metry, skąd mam już kontakt głosowy. Potrzebuję podać sprzęt dla Mańka, by za-
łożył stanowisko i następny zjazd.

Za pomocą „kaczek”⁵³ posyłam co trzeba. Po jakimś czasie lina się na-
ciąga. Co się dzieje? Wołam, krzyczę, nikt nie odpowiada, a może tyl-
ko nie słyszy! Co robić? Musiało się coś stać, bo cały czas czuję ciężar
na linie. Nerwowo analizuję sytuację. Mija dziesięć minut i nic się nie
zmienia. Muszę uwolnić się od ciężaru napiętej liny, co nie jest łatwe.

W końcu dopinam linę do czekana, rozwiązuję się i z pomocą pru-
sika schodzę po linie w czeluść kuluaru. Mam złe przeczucia. Po trzy-
dziestu metrach widzę Józka. (...) Wisi półtora metra nad półką. Kil-
ka metrów niżej widzę Mańka podchodzącego kulwarem. Nic z tego
nie rozumiem⁵³.

Znajdujemy tu wyjaśnienie kwestii, skąd mógł się wziąć luz na li-
nie. Problem polegał na tym, że Marian schodzący jako pierwszy nie
mógł założyć stanowiska, gdyż nie wziął potrzebnych w tym miejscu
haków. Haki miał Wielicki. Gdy na linie przesyłał sprzęt Koniakowi,
wiązka utykała po drodze. Trzeba było linę luzować, żeby odbloko-
wywać klinujący się szpej. Prawdopodobnie w trakcie tych manewrów
Józek stracił równowagę lub urwał się pod nim stopień i w rezulta-
cie odpadł. Lot musiał być spory (5-, 6-metrowa ścianka, luz i rozcią-
gnięcie się liny), skoro Koniak uderzył i w rezultacie zrzucił znajdu-
jącego się pod nim Mariana.

Jak można zauważyć, Wielicki nie widział upadku Józka. Co więcej,
nie widział tego też Piekutowski, w momencie uderzenia z góry zaję-
ty zwijaniem nadmiaru liny. Musiał przeżyć potężny szok, zanim za-
trzymał się głową w dół kilkanaście metrów niżej.

Nasuwa się podstawowe pytanie: jaka była przyczyna śmierci Józe-
fa Koniaka?

Sprawę analizowali już członkowie SKW w artykule *Jeleniogórzanie
w Himalajach*, opierając się na opowiadaniach Piekutowskiego i na

* Chodzi o manewry polegające na falowaniu liną, żeby przepchnąć pakunek klinujący się po drodze.

raporcie świadków. Wyszuli przypuszczenie, że przyczyną śmierci było uduszenie wskutek zbyt długiego wiszenia na linie.

Przytoczę tu odpowiedni fragment, dodając stosowne wyjaśnienia: *Podobnie jak dwaj pozostali partnerzy – Józef Koniak był związany liną na wysokości klatki piersiowej. W tzw. lufcie, bez kontaktu ze skałą, można w warunkach tatrzańskich utrzymać się przy życiu około 20 minut. Na wysokości około 6000 metrów n.p.m. (niedotlenienie, trudności w oddychaniu) czas skraca się jednak do kilku minut. Uratować się można zakładając prusik na linie i stając w pętli. Ale w opisywanym wypadku poluzowanie liny było niemożliwe, gdyż ciężar plecaka i związającego Mariana dodatkowo zacieśniały pętlę, zapewne też blokowały ruchy Koniaka i ograniczały jego możliwości manewru. Mariano-wi Piekutowskiemu udało się po paru minutach uwolnić od plecaka oraz zwojów liny krępujących mu nogi, ale był potłuczony i zszokowany. Pokonanie dziesięciometrowej odległości dzielącej go od potrzebującego pomocy partnera zajęło dodatkowy czas. Józek umarł na skutek uduszenia*⁵⁴.

Tę kwestię konsultowałam też z dwoma lekarzami, specjalistami medycyny górskiej: dr Piotrem Kintopfem – członkiem komisji Szafirskiego i dr Robertem Szymczakiem. Zastrzegając, że jednoznaczne wyjaśnienie przyczyny śmierci Koniaka jest niemożliwe, przedstawili oni bardziej szczegółową, dość prawdopodobną hipotezę dotyczącą przebiegu wypadku⁵⁵.

Potwierdzają, że jako główną przyczynę należałoby podać uduszenie. Jednocześnie jednak zwracają oni uwagę na to, jak wielkie siły działały na Piekutowskiego – a w następstwie na Koniaka – w chwili zatrzymania lotu Mariana. U Koniaka, związanego w pasie, jedną liną idącą w górę i drugą w dół, nagłe szarpnięcie (moment zatrzymania się Piekutowskiego), spowodowało zadziergnięcie się pętli na tułowiu. W tej sytuacji prawdopodobnie doszło też u niego do poważnego urazu narządów wewnętrznych. Jeśli tak się stało, to los Józka był przesądzony. Piekutowski nie mógł mu już w żaden sposób pomóc.

Inne hipotezy dotyczące przyczyn śmierci Józka, które były formułowane, wydają się mniej wiarygodne. Wspominane w różnych źródłach⁵⁶ obrażenia jego głowy – jeżeli były (raport o nich nie wspomina) – nie należały do poważnych, skoro Koniak przez dłuższy czas wołał o luz, o czym pisze w raporcie Marian. Z tego samego powodu należałoby odrzucić hipotezę o zmiżdżeniu żeber, przytoczoną w książce o Wielickim⁵⁷.

Jak można więc stwierdzić, do śmierci Koniaka doszło wskutek wyjątkowo nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Jest niemal pewne, że Józek przeżyłby, gdyby tylko on sam zawisnął na linie – wtedy można byłoby mu pomóc. Główne zło stało się w momencie, gdy doszło do reakcji łańcuchowej i upadku Mariana.

W podsumowaniu tej części warto pokusić się o wskazanie czynników, sprzyjających zaistnieniu wypadku. Jednym z nich jest fakt, że Koniak w chwili odpadnięcia nie miał na sobie uprzęży. Jak na ironię, uczestnicy wyprawy zostali wyposażeni w uprzęże. Według otrzymanych informacji, przed wyjazdem zlecieli ich uszycie znajomemu ry-marzowi, dostarczając mu na wzór model Edelrida. Gdyby Józek nie był wtedy tylko związany liną w pasie, jego szanse przeżycia byłyby zdecydowanie wyższe.

Warto w tym miejscu przywołać wypadek Stanisława Biela, który miał miejsce w 1957 r. w masywie Mont Blanc – zginął wtedy Wawrzyniec Żuławski. Biel był z nim związany podobnie jak Koniak z kolegami, tj. był obwiązany w pasie. W trakcie trawersowania stoku spadła lawina, porywając obydwo. Biel omal nie został przecięty wpół liną, na końcu której znalazł się zagrzebany głęboko pod powierzchnią lawiniska partner. Przeżył tylko dzięki szybkiemu odtransportowaniu do szpitala. Francuscy lekarze mówili też o wyjątkowo silnym organizmie Polaka. Również tutaj sposób związania się był przyczyną ciężkich obrażeń, które o mało nie doprowadziły do śmierci Biela.

Wróćmy jednak do Józka Koniaka. Należałoby zwrócić uwagę na kolejną niekorzystną okoliczność – było to pierwsze wyjście aklimatyzacyjne zespołu. Cała trójka wyruszyła z bazy usytuowanej na 3700 m i po czterech dniach wędrówki znalazła się na wysokości około 6000 m, czyli w jednym wyjściu pokonano aż 2300 m deniwelacji. Takie działanie jest niezgodne z regułami poprawnej aklimatyzacji, według których po uzyskaniu maksymalnie 1000 metrów przewyższenia należy zejść do bazy, by w następnym wyjściu móc pokonać kolejny próg wysokości (wróć do tej sprawy w osobnym punkcie). Chociaż podczas biwaku poprzedzającego wypadek nikt nie sygnalizował żadnych dolegliwości, to bardzo prawdopodobny jest ogólny stan niedotlenienia spowodowany niedostateczną aklimatyzacją zespołu. Naturalną konsekwencją był też brak koncentracji u wszystkich uczestników zdarzenia, zwłaszcza Koniaka, ale też Piekutowskiego.

Jeszcze jeden czynnik ryzyka to niewielkie doświadczenie Józka. Dźwigając ciężki plecak w trudnym terenie, musiał jeszcze dodatkowo

manewrować sprzętem przesyłanym między partnerami. Mógł wtedy łatwo popełnić błąd, który okazał się dla niego zgubny.

Decydując się na trawersowanie grani, zespół podjął duże ryzyko, z którego najwidoczniej nikt nie zdawał sobie sprawy. Notabene, podczas całej eskapady nie brakowało niebezpiecznych momentów, takich jak wspomniana przez Wielickiego lawina, która przeleciała tuż obok nich podczas wspinaczki na grań, czy jego upadek przy schodzeniu do Annapurna BC. Ostatecznie ten wypadek skończył się fatalnie dla Józefa Koniaka.

OKOLICZNOŚCI ZAGINIĘCIA JERZEGO PIETKIEWICZA I JULIANA RYZNARA

Jak pamiętamy, 28 kwietnia, gdy trwała już wspinaczka zespołu Wielickiego, Jerzy Pietkiewicz wyruszył na czele czteroosobowego zespołu do Annapurna BC. Towarzyszyli mu Julian Ryznar, Jerzy Pietrowicz i Jerzy Woźnica. Wiadomo, że Pietkiewicz nie zamierzał wtedy zadowolić się rolą pomocniczą, gdyż snuł plan wejścia na wierzchołek Annapurny Południowej drogą już zdobytą, technicznie najłatwiejszą, chociaż ryzykowną.

Pietkiewicz i Ryznar wyruszyli drugiego dnia po powrocie z Katmandu (wrócili do bazy 26 kwietnia wieczorem). Nie zdążyli więc dobrze odpocząć po forsownym marszu. Trasę baza – Pokhara – Katmandu i z powrotem, która normalnie zajęłaby dwanaście dni, oni przebyli w sześć.

Do Annapurna BC zespół Pietkiewicza dotarł 1 maja. Tego popołudnia wszyscy czterej brali udział w akcji ratunkowej na stokach Hiunchuli.

Następnego dnia, 2 maja, Pietkiewicz razem z Ryznarem i Pietrowiczem wyruszył na atak północno-wschodnią ścianą Annapurny Południowej. Ostatni bezpośredni kontakt z zaginionymi miał Pietrowicz, który zrezygnował w drodze z powodu kontuzji nogi. Pietrowicz rozstał się z kolegami około 15.00, brak jest wiarygodnych danych co do osiągniętej wtedy wysokości. Pietkiewicz podał dość odległy alarmowy termin powrotu do bazy – 13 maja.

4 maja koło południa Jerzy Pietkiewicz i Julian Ryznar, mający za sobą dwa biwaki w ścianie, byli widziani przez uczestników wyprawy

ANDRZEJ CZOK — DLACZEGO?

Artur Hajzer:

„Trójka” do bazy wysuniętej, zgłoś się, odbiór. (niewyraźnie)... Słuchaj Robert, jesteśmy teraz tu we dwóch. Sprawa jest o wiele poważniejsza. Czoku już nie może się ruszyć. Chłopcy poszli do góry, będą robić prowizoryczny tobogan. Mówi, że z minuty na minutę coraz gorzej mu się oddycha, że się dusi, i że czuje wodę w płucach. W ogóle wypowiedzenie jakiegokolwiek słowa sprawia mu straszną trudność. My będziemy się starali przetransportować go jak najniżej, choćby do „dwójki”. Teraz Ludwik znosi go na barana. Jak mnie zrozumiałeś?

Robert Janik:

Mów wolniej, praktycznie nic cię nie rozumiem.

Artur:

Jak mnie teraz słyszysz, odbiór.

Robert:

Możesz teraz mówić...

Artur:

Stan-Czoka-jest-bardzo zły. Czok-nie może-chodzić-o własnych siłach. Ludwik-znosi-go-na barana. Z minuty-na minutę-Czok-oddycha-coraz-gorzej. Mówi-że się-dusi, z minuty-na minutę-dusi się. Czuje-wodę-w płucach, czuje-wodę-w płucach. Jak mnie zrozumiałeś?

Robert:

Czuje wodę w płucach. Jeśli tak jest, to dajcie mu dużo furosemidu, dużo furosemidu. Jak zacznie sikać, niech sika ... Jeśli zniesiecie go do trójki, usadzić go w pozycji półsiedzącej i być w kontakcie z nami. My weźmiemy tlen i ruszymy do góry!

przebyli przed wyprawą odpowiedni trening i znajdowali aktualnie w dobrym stanie zdrowia.

Wygląda na to, że tego typu rozważania są jałowe. To ślepa uliczka, która nie doprowadzi do żadnych konstruktywnych wniosków, a spowoduje jedynie zaognienie sporów.

Gdy się nad tym głębiej zastanowić, „wina” leży gdzie indziej i jest banalnie prosta. A jest nią brak świadomości powagi sytuacji u wszystkich uczestników zdarzenia.

Spójrzmy więc na tę historię, nie ulegając jakże naturalnej pokusie poszukiwania winnego, a przede wszystkim starając się pokazać i zrozumieć uwarunkowania i konsekwencje wyborów dokonywanych w swoim czasie przez członków ekipy.

WAŻNE KWESTIE MEDYCZNE

Zacznijmy od pytań:

- Jakie czynniki mogły mieć wpływ na rozwinięcie się obrzęku płuc u Andrzeja?
- Jakie objawy powinny były wzbudzić alarm?
- Czy Andrzeja można było uratować?

O konsultację zwróciłam się do trzech lekarzy – wybitnych specjalistów medycyny górskiej: dr Piotra Kintopfa⁸⁵, prof. Jana Serafina⁸⁶ i przedstawiciela młodszej generacji, dr Roberta Szymczaka⁸⁷.

JAKIE CZYNNIKI MOGŁY MIEĆ WPŁYW NA ROZWINIĘCIE SIĘ OBRZĘKU PŁUC U ANDRZEJA?

Piotr Kintopf:

Nie ma pewnej odpowiedzi na to pytanie. Najczęściej ofiarą tej choroby padają wspinacze, którzy znajdują się na wysokości bez dostatecznej aklimatyzacji. Jednak obrzęk płuc na wysokości może się zdarzyć nawet u dobrze zaaklimatyzowanych wspinaczy, a sprzyja mu nadmierne forsowanie organizmu⁸⁸.

To ostatnie, to właśnie przypadek Andrzeja. Co więc zaważyło w jego przypadku?

Ciekawą teorię wysunął Ludwik Wilczyński, który miał okazję obserwować Andrzeja w czasie wyprawy. Wskazuje on logiczny ciąg okoliczności, które mogły doprowadzić do wyczerpania, wydawałoby się, niespożytych sił i rozwinięcia się groźnej choroby:

- *długa rekonwalescencja po odmrożeniach na Dhaulagiri (doznanych przed rokiem) i w konsekwencji brak treningu i nadwaga,*

- Andrzej zdając sobie sprawę ze swego stanu, podejmuje duży wysiłek treningowy w czasie prawie dwutygodniowej karawany do bazy,
- pozorny sukces to utrata wagi i odzyskanie szybkości z ciężkim plecakiem przy bardzo prawdopodobnym nadwątleniu sił obronnych organizmu,
- natychmiast potem zaczyna się działalność górską (ciężki trening tuż przed działalnością właściwą bez okresu tzw. kompensacji),
- aklimatyzacja przeprowadzona właściwie, ale z „tłącą się” cały czas infekcją górnych dróg oddechowych,
- Andrzej bardzo poważnie traktujący partnerstwo z Kukuczką (Jurek, jak pamiętamy, był w tej kwestii, delikatnie mówiąc, pragmatyczny), akceptuje krótki odpoczynek przed atakiem szczytowym (dwa dni),
- 9 stycznia po wykonaniu zaleceń Roberta Janika kaszel ustaje, co skłania Andrzeja do niewykonania drugiego zalecenia Roberta – zawrócenia do bazy⁸⁹.

Przejrzyjmy tę listę.

Na temat względnie słabej formy Andrzeja przed wyjazdem wypowiedziała się Komisja⁹⁰, zwracając uwagę na długofalowe konsekwencje ciężkich odmrożeń stóp, doznanych przed rokiem. Tę ocenę potwierdza przyjaciel Andrzeja, jeden z członków Komisji – Janusz Skorek:

Andrzej nie powinien był jechać na tę wyprawę. Po powrocie z Dhaulagiri długi czas spędził w szpitalu. Nie miał szansy na osiągnięcie odpowiedniej formy w tak krótkim czasie. Chciał jednak wejść na tę górę, bo miał już wejścia na Lhotse, Everest, Makalu i Dhaulagiri. Z pięciu wysokich ośmiotysięczników brakowało mu wejścia właśnie na Kangchendzongę i K2⁹¹.

Stosunkowo mało wiadomo o tym, jak Andrzej dochodził do formy podczas karawany domarszowej. Prof. Jan Serafin, analizujący w swoim czasie historię Czoka, powiedział mi o zapaleniu oskrzeli, które Andrzej wtedy złapał. Infekcja była na tyle poważna, że dostał antybiotyk.

Kuracja musiała odnieść skutek, gdyż w czasie akcji zakładania obozów nie widać u Andrzeja objawów wyczerpania. Z jednym zastrzeżeniem: słabszą niż zwykle formę zauważają dobrze znający go koledzy, Kukuczka i Pankiewicz. Pomimo to, cały czas, aż do ostatniego wyjścia, Czok swoim zwyczajem nie oszczędza się. Działa wciąż w czołowie. Jak to określa Wilczyński: *przyciska pedał do dechy*. Zapewne

dlatego Przemek Piasecki zdecydowanie pozytywnie ocenia kondycję Czoka:

Andrzeja mogłem obserwować podczas karawany i potem wspólnego wspinania. Aż do 9 stycznia był w lepszej formie fizycznej niż niejeden z uczestników wyprawy. Czy ktoś nie w pełni zdrowy, kompletnie fizycznie nieprzygotowany, jak sugerują niektórzy, mógł aktywnie uczestniczyć w zakładaniu I, II i III obozu, i wytyczaniu drogi (do 7700 m) na trzeci szczyt świata w warunkach zimowych? W tym samym okresie inni zdrowi, wytrenowani koledzy nie zdołali postawić nawet jednego obozu, jedynie jakiś pośredni „a”⁹².

O tym, że aklimatyzacja Czoka została przeprowadzona właściwie, była już mowa – patrz np. raport Komisji⁹³, tę ocenę potwierdzają też wszyscy pytani przeze mnie lekarze.

Ludwik wśród okoliczności obciążających wymienił natomiast „tlącą się” wciąż infekcję górnych dróg oddechowych. Wygląda na to, że dolegliwość z karawany nie została w pełni wyleczona. Potwierdzenie tego przypuszczenia znajdziemy w diagnozie prof. Serafina:

W tym przypadku aklimatyzacja miała przebieg prawidłowy, ale podczas dojścia do bazy i samej akcji górskiej chory cierpiał na przewlekły nieżyt krtani i górnych dróg oddechowych. Do ataku szczytowego przystąpił wbrew negatywnej opinii lekarza⁹⁴.

Ludwik zwrócił też uwagę na pewien znamieny szczegół: krótki, tylko dwudniowy odpoczynek przed ostatnim atakiem. Faktycznie, jeśli popatrzyć na grafik ruchów Czoka, rzuca się w oczy duża koncentracja działań pod koniec akcji w górze. W pierwszej fazie wyprawy Andrzej osiąga 6800 m (obóz II, 20 grudnia), potem jest dłuższa przerwa, w czasie której tylko raz schodzi do bazy głównej, by spędzić tam Wigilię. Po dziewięciodniowym okresie względnego spokoju następują dwa szczyty aktywności, jeden po drugim. W przedostatnim wyjściu Andrzej dociera do 7700 m (noc 3/4 stycznia spędza na 7400 m), zaś w ostatnim – do 7800 m (noc 10/11 stycznia), gdzie choroba się rozwija. Zapewne dwa dni odpoczynku wystarczyłyby dla zdrowego, jednak dla osoby z nie do końca wyleczoną chorobą, tak krótki odpoczynek mógł okazać się kroplą, która przepełniła czarę.

O nawrocie choroby u Czoka w obozie III podczas ostatniej próby ataku szczytowego, świadczy kuracja zalecona przez dr. Janika, która doraźnie poskutkowała. Robert Szymczak dodaje, że według różnych

* Chodzi o tymczasowy obóz III założony 1 stycznia.

doniesień: infekcje dróg oddechowych (zwłaszcza dolnych) mogą predysponować do rozwinięcia obrzęku płuc⁹⁵, o czym wtedy zapewne nie wiadano.

Wszyscy pytani przeze mnie lekarze są zgodni co do tego, że na atak szczytowy, zwłaszcza tak poważny (wysoki ośmiotysięcznik, zima), można się wybierać tylko w pełnym zdrowiu. Wyżej może się tylko pogorszyć. Zdaniem dr. Szymczaka, dodatkowy czynnik ryzyka, który w tym przypadku należało wziąć pod uwagę, to fakt braku tlenu medycznego w wyższych obozach.

Wniosek jest prosty. Andrzejowi, kiedy znalazł się w „trójce”, nie wolno było przystępować do ataku szczytowego. Opinia lekarza w tym względzie powinna mieć decydujące znaczenie i być respektowana przez kierownika – mówi jednogłośnie konsylium lekarzy.

Tak na marginesie, w rozmowie ze mną prof. Serafin mówił o delikatnym problemie pozycji lekarza na wyprawie. On sam, jak powiedział, miał komfortową sytuację. Otóż w ekspedycjach kierowanych przez Andrzeja Zawadę, w których uczestniczył, lekarz był numerem dwa, zaraz za liderem. Przy ustalaniu składu zespołu szturmowego decydowało zdanie medyka, wsparte niekwestionowanym autorytetem Zawady. Jednak w przypadku Kangchendzongi model wyprawy był zupełnie inny – stawiający na maksymalną inicjatywę poszczególnych członków ekipy, ale też zakładający ich większą indywidualną odpowiedzialność.

Zapewne ten aspekt miała na uwadze Komisja, formułując wniosek:

W wyprawach na wysokie ośmiotysięczniki, zwłaszcza w warunkach zimowych, każdy z uczestników musi zdawać sobie sprawę z większych możliwości wystąpienia choroby wysokościowej i konieczności wcześniejszego wycofania się już przy pierwszych, łagodnych objawach. Doświadczenia wskazują, że objawom choroby wysokościowej podlegają nawet wyjątkowo silne i wielokrotnie sprawdzone organizmy i to po okresie dobrej aklimatyzacji⁹⁶.

Muszę w tym miejscu dodać jedno. W rozmowie ze mną Jan Serafin wypowiadał się o Andrzeju Czoku w samych superlatywach: *Andrzeja miałem zaszczyt poznać w czasie wiosennej wyprawy na Everest w 1980 r. – mówi. – To był fantastyczny gość, bardzo przyjazny i miły. Wydał mi się cholernie rozsądny, więc gdyby mu się wytłumaczyło, że może nie tym razem, to by tego uniknął...⁹⁷.*

Andrzej Czok w drodze do „trójki”
(fot. K. Wielicki)



JAKIE OBJAWY POWINNY BYŁY „WŁĄCZYĆ ALARM”?

Sposób na rozpoznanie wysokościowego obrzęku płuc według dr. Roberta Szymczaka:

Sprawdź czy twój partner wyprawowy:

- *Długo nie może uspokoić oddechu po wysiłku fizycznym.*
- *Ma duszności podczas odpoczynku.*
- *Szybko oddycha.*
- *Ma słyszalne odgłosy bulgotania w płucach. Przyłóż ucho do jego pleców poniżej łopatek⁹⁸.*

Trzy pierwsze symptomy wystąpiły u Andrzeja w obozie IV. Jak uczy historia, obrzęk płuc to choroba wyjątkowo podstępna. Nawet doświadczeni lekarze mają problemy z jej rozpoznaniem. We wstępie była już mowa o przypadku dr. Chrisa Chandlera, który zmarł w ciągu 12 godzin po ujawnieniu się ostrej choroby wysokościowej, będącej kombinacją obrzęku płuc i mózgu⁹⁹. Ja sama przekonałam się o tym podczas naszej mini-wyprawy na Broad Peak w 1983 r. W trakcie ataku szczytowego musiałam minąć namiot (ok. 7200 m), w którym znajdowało się ciało Petera Thextona. Australijski lekarz (!) zmarł

1790

na obrzęk płuc minionej nocy, jego partner Greg Child, też dotknięty chorobą wysokościową, był bezsilny. Wtedy, zmęczona i zaaferowana własnymi sprawami – w dniu ich ataku szczytowego, podeszliśmy z Anką Czerwińską z bazy prosto do „trójki”, 2000 metrów w pionie – nie zarejestrowałam szczegółów tego dramatu. Dopiero później dowiedziałam się zdumiewającej rzeczy, że zespół Childa „wyrwał” na szczyt ośmiotysięcznika praktycznie bez aklimatyzacji – uprzednio zaliczyli niespełna sześciotysięczny Lobsang Spire (5707 m)¹⁰⁰.

Wróćmy jednak do 10 stycznia i do sytuacji w obozie IV. Jak stwierdził Przemek Piasecki:

Nikt z nas nie miał świadomości w „czwórce”, że sytuacja jest aż tak poważna. Jestem przekonany, że Andrzej też nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Dopiero gdy kompletnie opadł z sił, dotarło do mnie, że może być źle¹⁰¹.

Chyba najbliższej wyczucia skali problemu był Jurek Kukuczka.

Posłuchajmy, jak mierzy się z trudnymi kwestiami, które wcześniej poruszyła w raporcie Komisja Bilczewskiego, a które na potrzeby książki sformułował dziennikarz Tomasz Malanowski – współautor biografii Kukuczki *Na szczytach świata* z 1990 r.

Pytanie dziennikarza:

Wiem, że śmierć Andrzeja bardzo tobą wstrząsnęła. Po powrocie z wyprawy pytano cię wielokrotnie – w rozmowach prywatnych i publicznie – czy nie czujesz się winny śmierci kolegi? Zarzucano tobie i Krzyskowi Wielickiemu, że mając wielką przewagę w aklimatyzacji, o wiele lepszą kondycję od wspinającej się z wami dwójki Czok-Piasecki, stworzyliście pewną presję, a Andrzej nie przygotowany do tego przeszarżował i zapłacił za to życiem. Pojawiło się wreszcie pytanie, czy nie byliście zbyt zapatrzeni w szczyt Kangchendzongi, aby w porę zauważyć, co się dzieje obok was...¹⁰².

Odpowiedź Jurka jest niejednoznaczna:

Zadawałem sobie po wielokroć pytanie, czy zrobiłem wszystko, żeby Andrzeja uratować. Albo inaczej: żeby nie dopuścić do jego śmierci. Dziś nie jestem tego pewien. Być może nie. Być może powinienem być bardziej czujny i czuły na jego dolegliwości już w początkowej fazie podejścia. Być może, być może... Jednak nie mogę odtworzyć tego momentu, w którym powinienem był powiedzieć: „Dość! Andrzej, musisz zejść”¹⁰³.

Spróbujmy więc teraz się zastanowić, w którym momencie w świadomości Jurka, Krzyska i Przemka powinien „włączyć się alarm”.

Odtwórzmy ciąg wydarzeń, mądrzejsi o wiedzę o tym, co stało się potem.

Pierwsze poważne ostrzeżenie pojawia się w obozie III. Po silnym ataku kaszlu u Andrzeja, lekarz przepisuje kurację i zaleca schodzenie. Kuracja przynosi chwilową poprawę stanu zdrowia, wobec czego Andrzej decyduje się iść w górę.

Nazajutrz przychodzi do „czwórki” bardzo zmęczony, godzinę po Piaseckim. Tego rodzaju sytuacje, kiedy ktoś ma słabszy dzień, są na porządku dziennym. Jednak do Andrzeja było to niepodobne – twierdzą ci, którzy go znali, w tym np. Jurek.

Po przyjeździe do obozu ma wyjątkowo ostry i długi atak kaszlu. Podczas wieczornej łączności lekarz doradza powtórkę zalecanej kuracji i wspomina o zażyciu furosemidu. Czyli, dla niewtajemniczonych, oznacza to podejrzenia początków obrzęku płuc*. Jednak Czok jeszcze nie myśli o schodzeniu.

Parę godzin później Andrzej wciąż się waha, ale Przemek ma już pełną jasność:

Późnym wieczorem pozbyłem się złudzeń, słysząc kaszel i krótki oddech partnera. Wiedziałem już, że rano musi schodzić i to z pewnością nie sam.

Na pytanie Kukuczki o plany na jutro Przemek odpowiada, że stan zdrowia Czoka nie pozostawia innej możliwości jak tylko zejście. Komentarz Jurka brzmiał:

...że było to w przypadku Andrzeja poważne, pojąłem dopiero wtedy, gdy sam zdecydowałem się na odwrót. Doceniałem powagę sytuacji, ale nie tragizowałem. Mówiłem sobie, że Andrzej zejdzie i wszystko będzie w porządku. Nie schodzi przecież sam... Myślę, że Andrzej na moim miejscu zachowałby się tak samo¹⁰⁴.

Informacja o niewesołej sytuacji w obozie IV nie dociera ani do bazy, ani do „trójki”. Decyzje zespołu szturmowego zapadają już po

* Zdaniem dr. R. Szymczaka, wg obecnej wiedzy medycznej, furosemid nie jest już zalecany w przypadku wysokościowego obrzęku płuc (HAPE). Jest to lek odwadniający, a na wysokości himalaistów są permanentnie odwodnieni. Furosemid jest jednym z leków stosowanych w kardiogenym obrzęku płucnym, który występuje najczęściej na nizinach.



Jerzy Kukuczka w bazie wysuniętej
(na pierwszym planie „Klimek”)

(fot. A. Hajzer)

Kukuczka
07764

wieczornej łączności, zaś jedyny radiotelefon zabierze ze sobą Jurek wyruszający przed szóstą rano na szczyt.

Tej nocy uporczywy kaszel nie daje Andrzejowi spokoju. Rano nie jest już zdolny do samodzielnego założenia sobie raków.

Teraz wnioski:

O tym, że Andrzej powinien był zrezygnować z ataku w obozie III, była już mowa. Powtórzmy: na atak szczytowy – zwłaszcza że chodziło tu o wysoki ośmiotysięcznik i o warunki zimowe – można się wybierać tylko będąc w pełni zdrowia.

Niestety Czok zbagatelizował wtedy radę lekarza wyprawy. A z kolei Jurkowi, jako dawnemu partnerowi, zapewne byłoby niezręcznie namawiać Andrzeja do zejścia. Najwidoczniej zabrakło tu stanowiska jakiegoś niezależnego autorytetu, który w tym momencie mógłby skutecznie zainterweniować.

I wreszcie wieczór w czwórcę to ostatni moment, w którym w świadomości partnerów chorego powinien się już włączyć sygnał alarmowy. To znaczy, wobec niejasnej sytuacji i narastających wątpliwości (wyraźna słabość Andrzeja, podejrzenia lekarza), należało podjąć działania. Na przykład: ustalić jeszcze dodatkową konsultację lekarską na godzinę późnowieczorną. Następnie, wobec nasilania się groźnych objawów – duszący kaszel nawet w czasie spoczynku, krótki oddech słyszany przez Przemka – zarządzić ewakuację od świtu.

CZY ANDRZEJA MOŻNA BYŁO URATOWAĆ?

Robert Szymczak:

Podstawowym postępowaniem w przypadku obrzęku płuc jest natychmiastowe zejście lub ewakuacja osoby poszkodowanej na niższą wysokość. Zejście 600–1200 metrów często znacznie poprawia stan osoby chorej, nasilenie objawów zdecydowanie obniża się. (...) Stosowanie tlenku, jeżeli jest dostępny, znacznie poprawia stan osób chorych i pomaga w sprowadzaniu ich na niższą wysokość. Podstawowy lek, jaki powinno się podać w tym przypadku, to Nifedypina¹⁰⁵.

O możliwość uratowania Czoka w sytuacji, w jakiej znalazł się w obozie IV, zapytałam trzech wspomnianych konsultantów: Piotra Kintopfa, Jana Serafina i Roberta Szymczaka. Po rozważeniu okoliczności wszyscy stwierdzili, że szansa była, chociaż naturalnie bez żadnej gwarancji. Andrzej zszedł przecież o własnych siłach mniej więcej połowę odcinka do „trójki” – dopiero w drodze zupełnie osłabł.

Żeby jednak akcja mogła być skuteczna, należało spełnić jednocześnie przynajmniej dwa warunki.

Pierwszy to jak najszybsza ewakuacja, najpóźniej z samego rana 11 stycznia i opuszczenie co najmniej 1000 metrów niżej. Andrzeja należało umieścić w śpiworze od razu w „czwórce” – chory powinien unikać wysiłku – i przetransportować do obozu II, na 6800 m. Przy zaangażowaniu wszystkich wspinaczy będących wtedy w obozie IV (trzy osoby) i III (pięć osób) było to prawdopodobnie wykonalne, chociaż na pewno akcja byłaby bardzo trudna.

Drugi warunek konieczny to jak najszybsze podanie mu tlenu, najpóźniej w obozie III.

Tymczasem tlen znajdował się w bazie wysuniętej, na 5000 m. Przypomnijmy: zapas tlenu, wyniesiony do tzw. bazy japońskiej, został wcześniej zużyty przez chorego Brazylijczyka. Potem zaś, w głosowaniu zdecydowano o niewynoszeniu do góry butli nawet do celów medycznych. Taki stan rzeczy bardzo poważnie redukował szanse ratunku, nawet gdyby ewakuacja z „czwórki” została podjęta bez zwłoki.

Akcja ratunkowa po Czoka, która została faktycznie przeprowadzona, tj. opuszczenie go tylko o 200 metrów (z 7600 na 7400 m), łącznie z tym co sam przebył – 400 m (z 7800 na 7400 m), bez wspomaganie tlenowego, okazała się niewystarczająca. Andrzej zmarł tego samego dnia przed 23.00.

Przy okazji trzeba zwrócić uwagę na słabą komunikację między zespołami. Przemek asystujący Andrzejowi nie mógł skontaktować się z niższymi obozami i przekazać informacji o jego stanie, gdyż nie miał radiotelefonu. W tych warunkach osoby podchodzące z „trójki” dowiedziały się o tym, jak poważna jest sytuacja dopiero wtedy, gdy natknęły się na schodzących. Skutkiem tego również tlen wyruszyl z bazy bardzo późno. To wszystko razem złożyło się na dużą stratę czasu i w rezultacie porażkę akcji ratunkowej.

Sprzęt telekomunikacyjny to zresztą jeszcze jeden problem, z którym borykała się wyprawa. Jak dowiedziałam się od Machnika, mieli oni sześć radiotelefonów, na dodatek nie w pełni sprawnych – tylko tyle było wtedy do dyspozycji w magazynie Polskiego Związku Alpinizmu. Tymczasem przy tak dużym ryzyku, każdy zespół wybierający się na szczyt powinien być wyposażony w radiotelefon. Zatem dziewięć osób przebywających tu w górnych obozach musiałoby mieć nie dwa, a cztery „Klimki” – dwa w „czwórce” i dwa w „trójce”, co w tamtym stanie rzeczy było nierealne.

2 e, 10 e
7400
400 m

Inną sprawą jest szwankująca świadomość znaczenia komunikacji radiowej. Kukuczka w czasie ataku szczytowego nie zdołał odnaleźć akumulatora w plecaku. To tłumaczenie zostało przez kolegów przyjęte z powątpiewaniem – raczej jako wybieg z jego strony, zastosowany po to, żeby mu nikt nie przeszkadzał w realizacji celu. Czy faktycznie Jurek *nie mógł* znaleźć tego akumulatora? Można zrozumieć, że tam na szczycie łączność nie była dla niego priorytetem. Tego typu postawa uchodzi na sucho, dopóki nie dzieje się nic złego. Zdarza się jednak, jak w przypadku Czoka, że brak możliwości skontaktowania się może być jednym z czynników decydujących o życiu.

TLEN MEDYCZNY

Na koniec sprawa tlenu dla celów medycznych. Jeśli stwierdzamy, że Andrzeja można było uratować, a jednym z warunków koniecznych była dostępność tlenu wyżej, przynajmniej w obozie II, to jak by się mogło wydawać, sprawa powinna być ewidentna. Należałoby przyznać rację Komisji, że niewyniesienie butli z bazy na Kangchendzon-dze było błędem oraz że w przyszłości tego typu duże wyprawy powinny zadbać o to, żeby tlen do celów medycznych znajdował się jak najwyżej. Z takim stanowiskiem zgodził się od razu zapytany przeze mnie Ludwik Wilczyński. Jednak inni pozostali nieprzekonani. Oto wypowiedź Jurka Kukuczki na ten temat:

*Raport komisji brzmi tak, jakby go pisali ludzie, którzy nigdy nie byli wysoko w górach. Przypomina to zalecenia udzielane przez lekarza choremu na grypę pacjentowi: „Proszę nie ignorować choroby, bo nie leczona może mieć poważne następstwa. Zapisuję panu odpowiednie leki, choć prawdę mówiąc wątpię, czy są w aptece. I niech pan koniecznie leży co najmniej pięć dni”. Co robi pacjent? Bierze receptę i... leczy się domowym sposobem, jak może. Ostatni fragment raportu uważam więc za nabożne życzenie wyprawowego lekarza, którego i tak nie można w całości spełnić. A poza tym mieć w obozie tlen do celów terapeutycznych, to znaczy używać go też po to, aby poprawić krążenie, samopoczucie itd. Powraca więc jeszcze raz kwestia wyboru – wspina-my się z tlenem czy bez?*¹⁰⁶.

Wygląda na to, że Jurek podszedł do śmierci przyjaciela w sposób fatalistyczny. W swoim notatniku miał zapisać:
*Tragiczna śmierć w górach – gówno prawda. Andrzej po prostu wziął i odszedł*¹⁰⁷.

Również Machnik zakwestionował werdykt Komisji: Klubowa komisja do badania przyczyn śmierci Andrzeja na wszelki wypadek sformułowała jednak wniosek, że winien był kierownik, bo nie zmusił członków wyprawy do użycia tlenu...¹⁰⁸.

Machnik nie zamierzał brać na siebie odpowiedzialności za brak tlenu w wyższych obozach, była to bowiem decyzja zespołu, na dodatek podjęta jednomyślnie. Sprawę tę wcześniej przedyskutowano podczas jednej z narad, poprzedzających ostatni atak szczytowy.

Młody tłumaczy to stanowisko w ten sposób: Przy takiej ilości chętnych użycie tlenu w ogóle nie wchodziło w rachubę. Ktoś musiałby się poświęcić, by wynieść go dla innych, i to w takim tempie, w jakim posuwałaby się reszta. Tym sposobem część z nas od razu wypadłaby z gry¹⁰⁹.

Zaś w sprawozdaniu z wyprawy dla PZA Machnik napisał: Uważam, że silny i doświadczony zespół, a ten niewątpliwie takim był, może sobie pozwolić na odrzucenie zarówno użycia tlenu, jak i asekuracji tlenowej (...). Ponieważ szczyt tak wysoki jak Kangchendzonga zdobyty został zimą bez użycia tlenu, śmiem twierdzić, że tlen stosowany jako sztuczne ułatwienie zniknie wkrótce z gór na dobre¹¹⁰.

Podobne stanowisko zajął Przemek Piasecki, uznając, że zespół miał prawo zrezygnować z wynoszenia tlenu:

To była nasza decyzja, która wymagała od nas szczególnej uwagi i szczególnej odpowiedzialności za to, co się robi i za partnerów, których się ma. Jeśli można dopatrywać się jakiegoś błędu, to był to błąd Andrzeja w ocenie swoich możliwości. W sytuacji ekstremalnej, jaką jest wyprawa zimowa, każdy powinien poczuwać się do odpowiedzialności za siebie i za partnerów. Z tego punktu widzenia Czok popełnił błąd, nie schodząc z obozu III do bazy¹¹¹.

ECHA WYPRAWY. SZCZYT GLIWICKI

Do historii z Andrzejem Czokiem i związanych z nią wątpliwości nawiązano podczas słynnego „szczytu gliwickiego” – spotkania, które odbyło się w kwietniu 1987 roku w celu przedyskutowania problemów z zakresu etyki wspinaczkowej w himalaizmie. W spotkaniu wzięli udział także uczestnicy wyprawy na Kangchendzongę: Kucuczka i Wielicki.

Obydwaj zostali niejako zaatakowani pytaniem, zadany przez prowadzącego dyskusję Wacława Sonelskiego:

Czy mieli moralne prawo iść na szczyt, wiedząc, że Czok jest chory?¹¹².